

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA.

przez Maurycego Leblanc.

10

(Ciąg dalszy).

Wyraz przykrego wzruszenia przebiegł mu po twarzy i mimowoli wyrwał mu się szept:

— Stefan Varin.

— Pan go zna?

— Nie... lub raczej tak... z widzenia tylko.

Brat jego...

— Ma brata?

— Tak, Alfred Varin. Kiedyś brat jego przychodził mi wieszować, już nie pamiętam z jakiego powodu.

— Gdzie on mieszka?

— Bracia mieszkali razem... przy ulicy de Provence, zdaje się.

— I nie przypuszczasz pan z jakiej przyczyny ten się zabił?

— Na żaden sposób.

— Jednak ta karta, którą trzymał w ręku? Pańska karta z pańskim adresem!

— Nic nie rozumiem! Zapewne tylko wypadkowo... śledztwo nam wykryje.

Wypadek w każdym razie bardzo ciekawy — pomyślałem sobie i czułem, że wszyscy inni mają to samo na myśli.

Opinię tę odnalazłem nazajutrz w dziennikach i także u wszystkich moich znajomych, z którymi tylko rozmawiałem o całym zajściu. Wśród tych tajemnic tak zawiśniętych, wobec tego dwukrotnego powtórzenia zdumiewającego siódmek czerwienych, siedmkroć przebitych, po tych obu zagadkowych wypadkach, które zawsze w moim mieszkaniu miały się wydarzyć — ów bilet wizytowy, mógł na koniec rzucić jakieś światło; przez niego można byłoby dojść prawdy.

Jednak wbrew przewidywaniom pan Andermatt nie dostarczył żadnego wyjaśnienia.

— Powiedziałem, co widziałem, czego chcę więcej odemnie? — powtarzał. — Sam jestem ogromnie zdziwiony tą kartą i czekam tylko tak, jak i wszyscy, że śledztwo sprawę tę zupełnie wyjaśni.

Nie wyjaśniło. Stwierdzono tylko, że bracia Varin, Szwajcarzy z pochodzenia, przyjmując rozmaite nazwiska, prowadzili życie bardzo ruchliwe, uczęszczali do domów gry, utrzymywali stosunki z całą bandą obcokrajowców, którą policja miała na oku, a która po całym szeregu rabunków rozprószyła się po świecie. Przy ulicy de Provence pod nr. 24, gdzie Varinowie rzeczywiście niegdyś mieszkali przez sześć lat, obecnie nic o nich nie wiadomo.

Co do mnie, wyznaję, że sprawa wydawała mi się tak zawiśnięta, że nie wierzyłem w możliwość jej rozwiązania, więc starałem się nie myśleć o niej wcale. Ale Jan Daspry, z którym w tym czasie dość często się widywałem, przeciwnie z każdym dniem coraz bardziej do niej się roznamiętniał.

On to właśnie wskazał mi to echo zagranicznego dziennika, które cała prasa powtarzała i komentowała:

„W obecności cesarza, w miejscowości, której tajemnica strzeżoną będzie do ostatniej chwili, odbędą się pierwsze próby podmorskiego statku, który ma przeistoczyć do gruntu warunki przyszłej wojny morskiej. Pewna niedyskrecja odsłoniła nam imię statku: „Siódemka kierowa“.

Siódemka kierowa! Byłże to zbieg nazwisk przypadkowy? czy raczej należy widzieć pewien związek między imieniem statku a wypadkami, o których opowiadaliśmy? Związek jakiej natury? To, co stało się tutaj, nie mogło w żaden sposób dotyczyć się tego, co tam się działo.

— Co pan wie? — zaprzeczył mi Daspry. Najbardziej różne skutki pochodzą często z jednej przyczyny.

Nazajutrz drugie echo przyplęnęło do nas.

Przypuszczają, że plany „Siódemki kierowej“ podmorskiego statku, którego próby odbędą się niezwłocznie, zostały wykonane przez inżynierów francuskich. Inżynierowie ci, na próżno szukając poparcia u współrodaków, zwrócili się następnie bez większego skutku do admiralicy angielskiej. Podajemy tę wiadomość z zastrzeżeniem“.

Nie śmiem obstawiać przy faktach natury zbyt drażliwej, a które, jak to pamiętamy wszyscy, wywołały wielkie w społeczeństwie wrażenie. Ponieważ wszakże niebezpieczeństwo dalszych powikłań

jest stanowczo usunięte, nie mogę nie przytoczyć artykułu z *Echo de France*, który wówczas sprawił tyle hałasu, a na sprawę Siódemki kierowej, jak ją nazywano — rzucił pewne światło... dość mętne.

Oto w całości ten artykuł, podpisany nazwiskiem: Salvator.

„Sprawa Siódemki kierowej. Uchylony róg zasłony.

„Będziemy treściwi. Dziesięć lat temu, młody inżynier górniczy, Ludwik Lacombe, palając żądzą poświęcenia czasu swego i mienia umiłowanej przez się nauce, wziął dymisję i wynajął pod numerem 102 przy bulwarze Maillot mały domek, który uprzednio pewien włoski hrabia kazał odnowić i umeblować. Za pośrednictwem dwóch braci Varin, Lozańczyków, z których jeden pomagał mu w doświadczeniach, jako preparator, a drugi wyszukiwał spółników, wszedł w stosunki z Jerzym Andermatt, który świeżo właśnie założył Biuro Metalowe.

„Po kilkakrotnym widzeniu się pan Lacombe zdołał zjednać bankiera dla sprawy podmorskiego statku, nad którym właśnie pracował. Stanęła między nimi umowa, która orzekła, że z chwilą zupełnego wykończenia statku pan Andermatt ma użyć swoich wpływów u ministra marynarki na uzyskanie pozwolenia dla całego szeregu prób ze statkiem.

„W przeciągu dwóch lat Ludwik Lacombe odwiedzał często bankiera i nieraz mu przynosił projekty ulepszenia swego wynalazku; wreszcie znalazłszy poszukiwane ostatnie słowo rozwiązania, zadowolony zupełnie ze swej pracy, poprosił pana Andermatta, aby przystąpił do działania.

„Dnia tego Ludwik Lacombe był na obiedzie u państwa Andermatt. Wyszedł od nich wieczorem, o wpół do dwunastej.

„Odtąd już go nie widziano.

„Przerzucając ówczesne dzienniki, można się przekonać, że rodzina wynalazcy zwróciła się do policji z żądaniem wdania się w tę sprawę i władze sądowe zaniepokoiły się. Ale do niczego to nie doprowadziło i z czasem ustaliło się przekonanie, że Lacombe, który uchodził zawsze za młodzieńca fantastycznego i oryginalnego, nie uprzedziwszy nikogo, wyjechał gdzieś w podróż.

„Ale, chociażby przyjąć tę hipotezę... nieprawdopodobną, zostanie pytanie, bardzo ważne dla naszego kraju: coż stało się z planami podmorskiego statku? Czy je Lacombe z sobą zabrał? Czy zostały zniszczone?

„Nader staranne śledztwo, które wkrótce przeprowadzono zostało, dowiodło, że plany istnieją. Bracia Varin mieli je w swych rękach. Jakim sposobem? Nie wiemy tego jeszcze, jak również nie wiemy, dlaczego raczej nie starali się ich sprzedać. Czy obawiali się, aby nie dochodzono, skąd przyszli do ich posiadania? W każdym razie obawa ta nie była zbyt silną i możemy obecnie z całą stanowczością twierdzić, że plany Ludwika Lacombe stały się własnością obcego mocarstwa i nawet jesteśmy w możności ogłosić korespondencję, wymienioną z tego powodu między braćmi Varin a przedstawicielem rzeczoności państwa. Obecnie „Siódemka kierowa“, wynalazek Ludwika Lacombe, została wyzyskana i wykonana przez naszych sąsiadów.

„Czy rzeczywistość odpowie optymistycznym nadziejom tych, którzy wyzyskali zdradę? Mamy dane oczekiwać czegoś przeciwnego i chcemy wierzyć, przyszłość nas nie zawiedzie“.

Post-scriptum mówiło jeszcze:

„Z ostatniej chwili. — Spodziewaliśmy się słusznie. Nasze wywiady prywatne dają nam możność podać do wiadomości, że próby z „Siódemką kierową“ okazały się niezadowolniającymi. Jest prawdopodobnem, że w planach, wydanych przez braci Varin brakło ostatniego dokumentu, który Ludwik Lacombe zabrał może panu Andermattowi w wieczór swego zniknięcia; dokument ten jest niezbędnym do zrozumienia całego projektu, jest rodzajem zsumowania, w którym znajdują się wnioski ostateczne, obliczenia i wskazówki, zawarte w innych papierach. Bez tego dokumentu plany nie posiadają ostatecznego wykończenia; zarówno jak bez planów dokument jest nieużyteczny.

„Lecz jeszcze jest czas działać i odebrać, co do nas należy. Do spełnienia tego zadania, nader trudnego, liczymy na współudział pana Andermatta. Zapewne leży mu na sercu wytłumaczyć to niepojęte stanowisko, jakie zachowywał od samego początku. Pan Andermatt powie nam nie tylko dlaczego nie wyjaśnił wszystkiego, co dotyczy samobójstwa Stefana Varin, ale także dlaczego nigdy nie powiedział o zniknięciu papierów, o czym wiedział najlepiej. Powie nam jeszcze, dlaczego od lat sześciu opłacał agentów, aby czuwali nad braćmi Varin.

„Oczekujemy z jego strony już nie słów, lecz czynów. W przeciwnym razie...“

Groźba była brutalną. Lecz na czym się opierała? Jaki sposób zastraszenia pana Andermatta posiadać mógł Salvator, autor... anonimowy artykułu?

Chmara reporterów obiegła bankiera, a w działkach interwiewów odbiła się wzdarda, jaką bankier odpowiedział na tę napaść we własnym swem mieszkaniu. Na to znów korespondent *Echo de France* dał odpowiedź w trzech wierszach:

„Pan Andermatt, z wolą swoją lub bez woli, staje się od tej chwili naszym współpracownikiem w sprawie, do której przystępujemy“.

* * *

W dniu, kiedy pojawiła się ta replika, obiadowałem razem z Dasprym. Wieczorem zaś, rozłożywszy na stole dzienniki, dyskutowaliśmy nad tą sprawą, roztrząsaliśmy ją wszechstronnie, nie bez pewnego rozdrażnienia, jeśli krążyć bezustanku w ciemności i potykać się zawsze o jedne i te same przeszkody.

Naraz bez dzwonienia, bez oznajmienia służącego drzwi sali otwały się i weszła jakaś pani, osłonięta gęstym woalem.

Porwałem się z krzesła i zbliżyłem się do niej.

— Czy to pan tu mieszka? — zapytała.

— Tak pani; ale wyznać muszę, że...

— Krata ogrodowa nie była zamknięta — objaśniła.

— Ale drzwi w przedpokoju?

Nie odpowiedziała, a ja pomyślałem, że musiała wejść przez schody kuchenne. Znała więc drogę?

Nastąpiła chwila przykrego zakłopotania. Spojrzała na Daspry'ego. Mimowolnie, jakbym to zrobił w salonie, przedstawiłem go jej. Poczem poprosiłem usiąść i wyjaśnić cel przyścia.

Podniosła woal i spostrzegłem, że jest brunetką, o rysach regularnych i jeśli nie piękną bardzo, to przynajmniej nieskończonego wdzięku, do czego przedewszystkiem przyczyniały się oczy, poważne i smutne.

Rzekła tylko:

— Jestem panią Andermatt.

— Pani Andermatt! — powtórzyłem coraz bardziej zdziwiony.

Nowe milczenie. Po chwili głosem równym najspokojniej w świecie wyrzekła:

— Przychodzę w tej sprawie... pan wiesz. Myślałam, że może od pana mogłabym zasięgnąć jakichś wiadomości.

— Niestety, nie wiem nic ponad to, co się pisze w dziennikach. Zechciej pani wyszczególnić, w czym mianowicie mógłbym służyć?

— Nie wiem... nic nie wiem...

Teraz dopiero przeczułem, że spokój jej jest robionym i że pod pozorem zupełnej pewności siebie tała się ogromna trwoga. I zamilkliśmy, zakłopotani zarówno oboje. Ale tu Daspry, który nie przestawał ją obserwować, zbliżył się do niej i rzekł:

— Czy pozwoli mi pani zadać sobie kilka pytań?

— O, tak! — zawołała — łatwiej mi będzie mówić.

— I pani odpowie... jakiegokolwiek będą te pytania?

— Odpowiem.

Pomyślał chwilę i rzekł:

— Czy pani знаła Ludwika Lacombe?

— Tak, znałam go, przez męża.

— Kiedy go pani widziała raz ostatni?

— Tego wieczora, jak był u nas na obiedzie.

— Czy tego wieczora nie nasunęła się pani myśl, że go już pani nie zobaczy?

— Wcale nie. Wspominał wprawdzie o podróży swej do Rosji, ale czynił to tylko nawiasowo.

— Więc pani przypuszczała, że go zobaczy jeszcze?